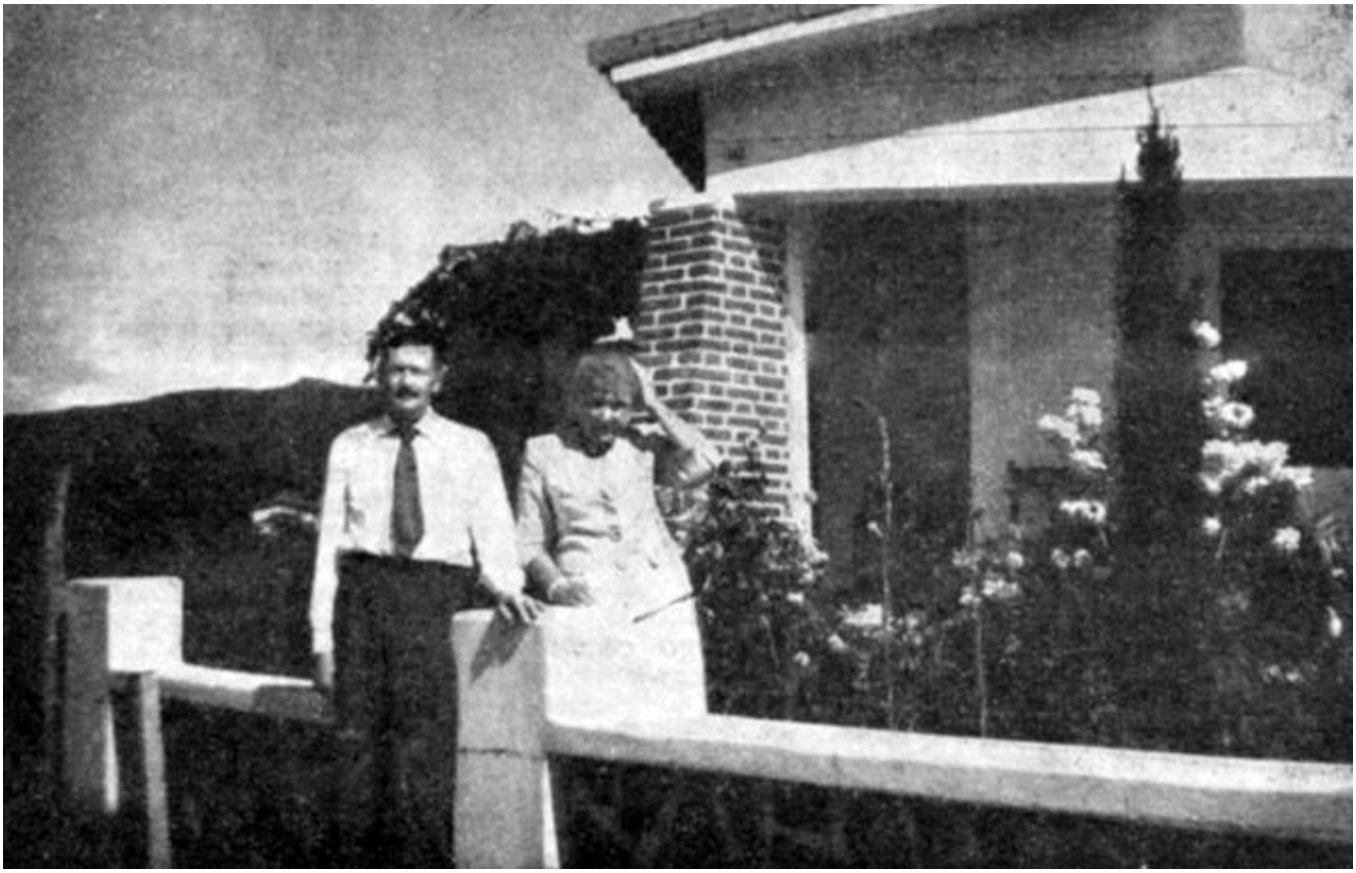
Czesława Straszewicza język hiszpańsko-polski. Część 1.

Florian Śmieja

Pisarze polscy, zwłaszcza prozaicy, których emigracyjne losy zapędziły do krajów języka hiszpańskiego, głównie do Ameryki Południowej (**Florian Czarnyszewicz**, **Janina Surynowa-Wyczółkowska**, **Benjamin Józef Jenne**), czy do Ameryki Środkowej (**Andrzej Bobkowski**) w twórczości swojej dostrzegali często nowe otoczenie, inną atmosferę, klimat, egzotyczne dla polskiego czytelnika krajobrazy, osobliwych ludzi. Sytuując bohaterów swoich książek w przybranej ojczyźnie, otaczali ich nie tylko realiami lokalnymi, ale również kładli w ich usta język, którego używało otoczenie. Zazwyczaj wystarczyło

upstrzyć narrację czy opis hiszpańskimi słowami czy zwrotami. Specyfika języka polskiego nieraz wymagała od piszących lekkiego adaptowania hiszpańskich słów do wymogów fleksji.



Florian Czarnyszewicz z Janiną Surynową-Wyczółkowską, przed jego domem w Villa Carlos Paz, na ulicy Avenida del Valle 143, źródło: londyńskie „Wiadomości" nr 17 (682) z 1959 r., fot. ze strony: http://byekuf.republika.pl

Florian Czarnyszewicz (1895-1964) emigrował do Argentyny w 1924 roku. Jest autorem czterech powieści. Akcja jednej z nich, „Losy pasierbów" (Paryż 1958), umiejscowiona jest w Argentynie. Pisarz często w dialogach posługuje się słowami zasłyszanymi w nowym kraju. Słów tych nie przekłada. Czasem wychyli się nieświadomie mówiąc „o żadnej trampie nie słyszał", a czytelnik musi się domyślić, że chodzi o zasadzkę, podstęp, że

to właśnie znaczy „trampa”, którą Czarnyszewicz odmienia regularnie jak polski rzeczownik rodzaju żeńskiego. Podobnie napisze „czakrę”, „ranczę”, w „fondzie”, „na moją quintę”. Osobliwie traktuje słowo „campa”, znaczące tyle co ziemia bez drzew, step. Odmiana tego rzeczownika waha się znacznie „w kampie”, „z kampy”, a nagle „kampa wielki”.

Gdy idzie o szczegółowe wyliczenie gatunków fauny i flory, tę zmorę ludzi nowych w terenie, czując się bezsilny nazywa je z hiszpańska: „narodowe *ceibos* i spowite w *madreselvę* i *lianę* krzaki *talas* i *lucery*”. Podobnie potraktował nieznane ptaki: „świergotały wróble, kwiliły *benteros* i *ratoneros*, zawodziły legendarne *carau*”.



Andrzej Bobkowski z żoną Basią, fot. wizjalokalna.wordpress.com

Zmarły przedwcześnie na chorobę nowotworową **Andrzej Bobkowski** (1913-1961), który w 1948 roku osiedlił się w Guatemali, do opowiadań osadzonych w Ameryce Łacińskiej wtrącał słowa hiszpańskie (także francuskie, angielskie i niemieckie) nie troszcząc się o ich przekładanie na polski. Uważał, że dobrze funkcjonowały, by wystarczająco charakteryzować rozmówców, miejsce czy sytuację. W listach do **Jerzego Giedroycia** napomykał o ambitnych planach pisarskich. Dopingowany przez redaktora „Kultury" Bobkowski szykował się do napisania książki o Ameryce Południowej. Tropem, po którym zamierzał iść, była powieść Conrada „Nostromo". Pisał:

> Ja temu *Nostromo* nie dam spokoju – teraz czekam tylko na mikrofilmy tych książek, na których opierał się Conrad i napiszę na tym tle, sumę dzisiejszej Ameryki Łacińskiej.

Donosił, że zamierza się wybrać do Wenezueli, by zobaczyć Puerto Cabello, na którym było wzorowane Sulaco. Conrad stał w tym porcie przez kilka dni.

W samych zaś listach do Giedroycia Bobkowski na przykład powie:

> Z Antigua dojechaliśmy do naszych przyjaciół na „finkę",

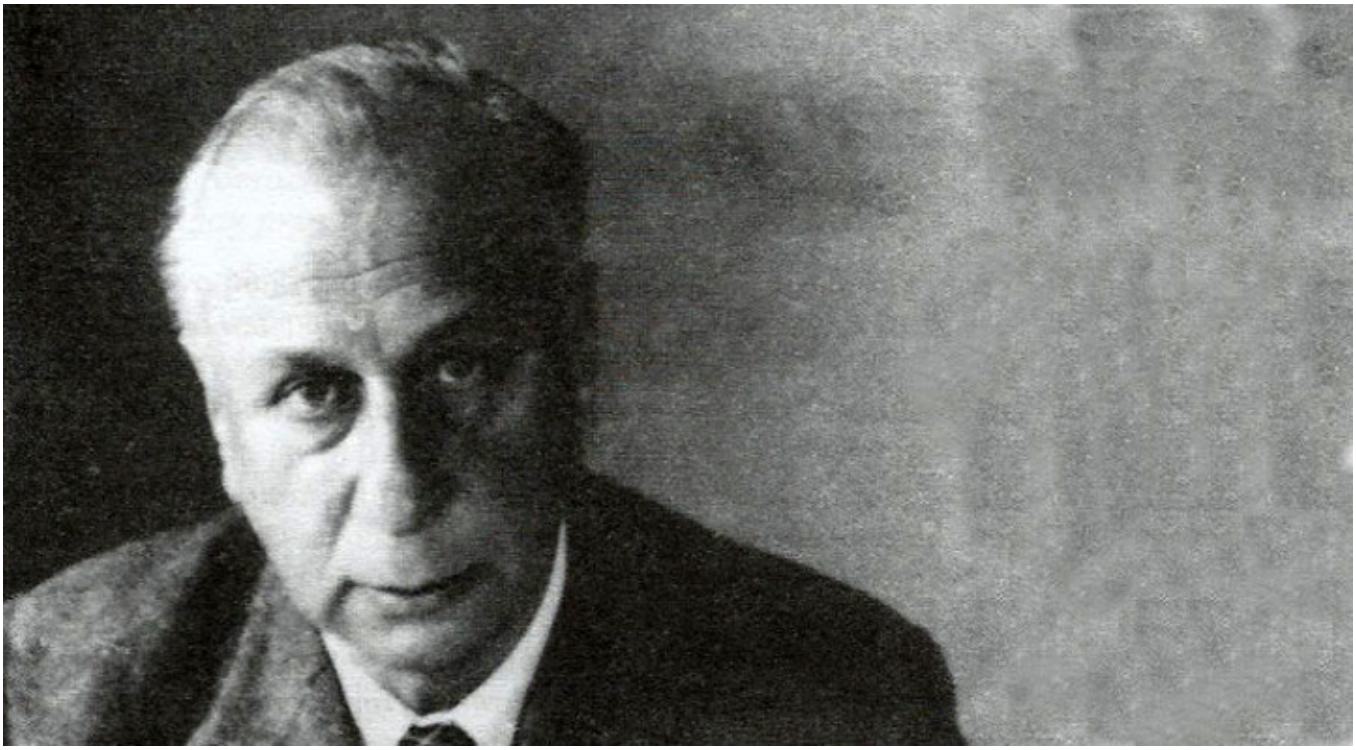
> czyli do ich majątku na wieś. (finca – posiadłość ziemska, parcela, zabudowanie z ogrodem, majątek).

Kiedy indziej wtrąci całe dobitne wyrażenie, nie tłumacząc go a domyślając się, że jest zbędne we Francji: „…przepraszam, że *estoy hecho mierda*„.

Janina Surynowa-Wyczółkowska (1897-1985), która ostatnie dekady swego życia spędziła w Argentynie, drugą część powieści „Teresa, dziecko nieudane” (Londyn 1961), „Gringa” (Londyn 1968) oraz trzecią „Jesień Gringi” (Londyn 1976) umiejscowiła w Argentynie. Wplata w narrację hiszpańskie słowa i natychmiast je tłumaczy na polski. Jeżeli je częściej powtarza, to już ich nie przekłada, a tylko wkłada w cudzysłów. Ostrożnie odmienia rzeczowniki: “ciemną Rafaelita i jasną Barbarity”; „zaimponowałam swojemu José Marii”. I to zdaje się autorce wystarczać, by stworzyć aurę przybranego kraju, jego ludzi i cudzoziemców, głównie Polaków, w styczności z Argentyńczykami.

Podobnie robi Jenne. Zadomowiony po wojnie w Wenezueli **Beniamin Józef Jenne** (ur. w 1913) wydał w 1979 roku w Londynie dwutomową powieść „Don Chucho”. Jej akcja rozgrywa się w Wenezueli na przestrzeni lat 1925-1975. Faktograficzny koloryt lokalny wzbogaca używając języka *hiszpańskiego.* Są to

zazwyczaj pojedyncze słowa, nazwiska, nazwy czy powiedzenia. Towarzyszą im najczęściej polskie równoważniki: „O, y como le va? I jak idzie?” czy „*Qué pasa*? – Co się dzieje?” Napisawszy „…z tym wyjść do *pueblo*”, dodaje gwiazdkę i odnośnik: pueblo – lud. Kiedy indziej natomiast nie przekłada, każe się domyślać i pisze: „…przez jakiegoś *Polaco*”; „dziki *vaquero*”; „w tamtą daleką *quebradę*”; „policja wzięłaby od pana *multę*, co najmniej sto boliwarów”; „*cascabel*” (grzechotnik) nie tłumaczy. Często rzeczownika hiszpańskiego nie odmienia, czasem daje jego liczbę mnogą. Zazwyczaj końcówka jest hiszpańska, ale bywają i polskie. I tak: „należą do *hacenderów*”; „sprowadzisz *extranjeros*”; „rzędy wielkich *mangosów*”, ale „deszcz złocistych *mango*”. Przydało by się wyczerpujące studium tych hispaników, obawiam się, używanych dość niekonsekwentnie.



Czesław Straszewicz, fot. wyd. Arcana, www.polskieradio.pl

Czesław Straszewicz (1904-1963) urodził się w Białymstoku, maturę zdał w Warszawie I studiował polonistykę i filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Jako prozaik debiutował w „Kwadrydze", następnie współpracował z „Prosto z Mostu", „Buntem Młodych", „Tygodnikiem Ilustrowanym" i „Polityką". Zaproszony do odbycia inauguracyjnego rejsu do Buenos Aires na nowym transatlantyku „Bolesław Chrobry" wraz z Witoldem Gombrowiczem, po przybyciu do Argentyny dowiedział się o wybuchu wojny polsko-niemieckiej. Wrócił do Europy i wstąpił do wojska polskiego we Francji. Potem w Anglii uległ kontuzji w czasie ćwiczeń wojskowych i został przeniesiony do pracy w radiostacji „Świt". W roku 1945 wyjechał do Montevideo w Urugwaju jako *attache* prasowy Polskiego Rządu na Emigracji. W latach 1956-1961 pracował w Radiu Wolna Europa w

Monachium. Na skutek rozwijającej się choroby nowotworowej wrócił do Urugwaju w 1962 roku i tam niebawem zmarł.

Autor trzech powieści i zbioru nowel. Przed wojną, na emigracji Straszewicz napisał „Turystów z bocianich gniazd", książkę składającą się z dwu opowieści dając innym przykład, by nie ograniczali się do pisania wspominków, ale więcej uwagi poświęcali otaczającemu ich światu i ludziom, z którymi niespodziewanie zetknął ich los. Spytany o pomysł jednej z tych opowieści Straszewicz powiedział:

> Polegam jedynie na własnych przeżyciach. Dla „Turystów" kręciłem się dość długo w kolonii montevideowskiej. Poza tym miałem kiosk w porcie i tam zetknąłem się na gorąco z marynarzami, których opisałem później w „Katedrze sandwiczów". (Merkuriusz Polski, 10 /78)

Karol Zbyszewski, bezapelacyjny entuzjasta egzotycznej noweli dodaje:

> Codziennie, w tychże godzinach, przy tymże stoliku, siedział w tejże kawiarni, na głównym placu Montevideo. Wysłuchiwał kolejno o sprawach, kłótniach, projektach... I radził, uśmierzał, pośredniczył, załatwiał...

> Z tego okresu powstała dłuższa nowela „Katedra sandwiczów”. Arcydzieło! Żadna (uczciwa) antologia noweli polskiej nie będzie się mogła bez niej obejść. Barokowym stylem, z dobrodusznym humorem, przedstawił Straszewicz tych politycznych emigrantów, których cała miłość do Polski polega na umiłowaniu polskich potraw, tę starą emigrację, która raz na rok ubiera swoje dzieci po krakowsku, a poza tym leci do byle reżymowego konsulatu – jeśli dostaje tam wyżerkę i wypitkę, w tych samochwałów – Akowców co to, ponoć, cudów dokazywali z Niemcami, ale których tu, w Urugwaju, najprostsza akcja przeciw „najnieporadniejszemu kajtusiowi” rozłazi się w rękach.
>
> A najmocniej wyśmiał samego siebie. Straszewicz przedstawił siebie jako panią z kiosku, poczciwą niedojdę, która nie ma pojęcia o handlu, która jest ośrodkiem wszelkich planów i intryg, lecz w końcu wszystko partoli. (DziennikPolski, 3.10.63)

Również **Tadeusz Nowakowski** zapisał w swoim wspomnieniu w „Wiadomościach” kolorowe perypetie Straszewicza w latynoskim kraju:

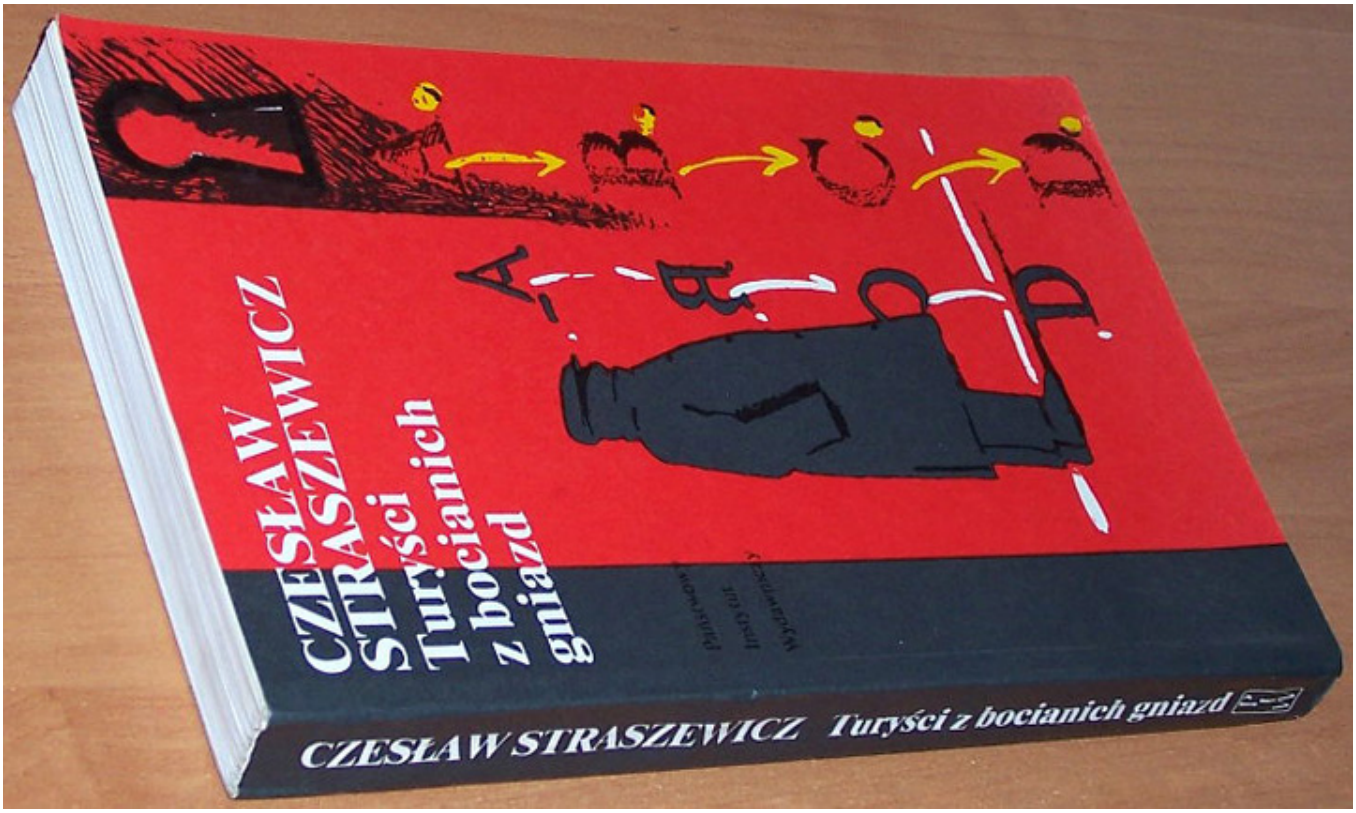
> Opowiadał mi, że w dalekim Urugwaju był magazynierem w fabryce. Otrzymał tę pracę dzięki poparciu możnego rodaka,

> mecenasa sztuki. Chodził więc do tej fabryki, coś tam zapisywał do księgi inwentarza, a pod koniec tygodnia ustawiał się potulnie z tubylcami po odbiór tygodniówki. Pewnego dnia zarządzono w fabryce redukcję, a protektor polskiego pisarza, jak na złość bawił w Szwajcarii. Zanim pozbawiono robotników pracy, związek zawodowy zażądał motywacji na piśmie…
>
> I tylko przy zacnym Czesiu nie bardzo wiedziano, co napisać. Majster słyszał jednak coś tam piąte przez dziesiąte, że to jakiś dziwny jegomość, cudzoziemiec, obce ciało w fabryce. Wobec tego napisał: „Ceslao Straszewicz – analfabeta"… – Jestem jedynym pisarzem polskim – przechwalał się ze śmiechem Czesio, któremu zaświadczono na piśmie, że jest analfabetą!

Nowakowski zanotował również inną zabawną historyjkę opowiedzianą przez Straszewicza:

> W Urugwaju prowadziłem polskie audycje radiowe. Musiałem jednak coś jeść i gdzieś mieszkać. Kochani rodacy w Montevideo, widząc jak mi się powodzi, uchwalili, że najlepiej mi będzie kupić kiosk. W dzień – umyślili sobie – będę w kiosku sprzedawał papierosy, a wieczorem – pokrzepiał serca. Wynajęli mi więc w dzielnicy portowej

miejsce na budkę. Pan Michalski, stolarz, kochany człowiek własnoręcznie zrobił witryny, pan Czech dał gwarancję, pan Szołno dał zaliczkę na towary, ja dałem im w zastaw złoty zegarek. No i założyliśmy ten kiosk. Ale po kilku miesiącach – zbankrutowałem. Okazało się, że być kupcem, to wcale nie takie proste. Na przykład przychodzi klient i powiada: „Proszę o kartkę papieru listowego". Mam taki papier, owszem, chcę dać gościowi, ale jak mu dać tę kartkę prosto w łapę? Jakoś nie wypada. Nie mam papieru do pakowania, więc szybko zawijam mu tę kartkę w drugą kartkę tego samego papieru listowego. I jeszcze – przez zwykłą ludzką uprzejmość – dodaję mu kopertę... Jedna kartka – dwa centymy, koszta własne – cztery centymy. A więc zysk mój: zero. A nawet minus dwa. Zbankrutowałem... (Na Antenie, Wiadomości, 912/1963)



Czesław Straszewicz, Turyści z bocianich gniazd, wyd. PIW, 1992 r.

Józef Czapski nazwał Straszewicza „najbardziej ludzkim z naszych pisarzy”. Także:

> Pisarzem wyjątkowej wagi i uroku, ale stokrotnie bardziej jeszcze człowiekiem o mądrej, uśmiechniętej dobroci, w czasach, kiedy dobroć nie jest „modna”, kiedy jesteśmy drapieżni, subtelnie perwersyjni, apokaliptycznie ponurzy, a przynajmniej zjadliwie ironiczni. Patrzał na wszystkich, patrzał na nas jak na marynarzy-turystów z bocianich gniazd w dalekich portach Ameryki, na ich łatwe kochanki, którym przyrządzali „bitki a la Radziwiłł”, na emigrantów przeróżnych… (Kultura, 10/192, 1963)

Język tego opowiadania zlokalizowanego w Urugwaju zasługuje nie tylko na *skrutację* przez iberystę, ale przede wszystkim na uwagę polonisty językoznawcy jako niezwykły dokument emigracyjnej polszczyzny. Zwracał już na ten aspekt uwagę Michał Sambor (Chmielowiec) w szkicu „Uwagi o prozie beletrystycznej" (T.Terlecki, Literatura polska na obczyźnie, I, 177):

> Niebawem będziemy już obchodzili dziesięciolecie ukazania się „Turystów z bocianich gniazd". Jest międzynarodowym skandalem, że gdy Zachód rozczytuje się w rozmaitych Brandysach, nie ma przekładu tego arcydzieła na żaden język światowy. Inna rzecz, że gdzie tu znaleźć kongenialnego tłumacza tej nieprzekładalnej książki, który by zdołał w swej mowie uchwycić w dwu-trzech pamiętnych słowach całe kompleksy historyczno-obyczajowo-psychologiczne, tak jak to umie Straszewicz w swej niewiarygodnej dla emigranta polszczyźnie!...

Wspomniany już **Tadeusz Nowakowski** sądził podobnie:

> ...Napisał książkę niezwykłą, która zapewnia mu miejsce w literaturze. Powstała ona z dala od kraju, w Ameryce Południowej i stanowi przykład zwycięstwa wyobraźni

> twórczej nad autopsją. […] Jakże to napisane! Cóż za barwny, oryginalny, odkrywczy język!…

W „Katedrze sandwiczów” Straszewicz ukazał Polaków na ziemi urugwajskiej otoczonych przez żywioł hiszpański względnie latynoski i kazał im mówić swoistym językiem, który w dużej mierze stanowi o uroku tej osobliwej prozy.

Aczkolwiek Straszewicz posunął się dalej niż wymienieni na wstępie pisarze, to jednak stworzonego przez siebie języka nie nadużywał. Wkładał go w usta już w Argentynie zadomowionych Polaków, względnie ich dzieci, oraz nowo przyjezdnych marynarzy, którzy makaronizowali nie mając ani praktyki w nowym języku, ani właściwej potrzeby, by język ten sobie przyswoić, bo byli ciągle w drodze do innego portu. W rozmowie z Eweliną Żółtowską zapytany o ten język przemieszany z hiszpańskim, Straszewicz powołał się na przykład Henryka Sienkiewicza, który posługiwał się łaciną, inkrustował słowa czy wręcz zwroty całe dla uzyskania pożądanego efektu artystycznego.

Godzi się niemniej zacytować cały paragraf naszpikowany hiszpańskimi słówkami pamiętając, że należy do rzadkich, bo Straszewicz, rozsądnie, nie widzi potrzeby nasycania swoim *volapükiem* całej noweli.

> Wraz z nadejściem dni przewiewnych, w kolonii „czateńskiej” nie dziwiono się zbytnio tym odjazdom, bo rozumiano, że tak powinno być i lepiej dla tamtych, przestaną się w porcie włóczyć i smród, jak te „kukaracze” i wstyd dla polskości koło siebie robić. Żałowali ich niektórzy, ot choćby Juan Gacki, który – *„claro”* – mówił Elena z Adamem w tańcu „pareha” była jak w „cinie”, *„pero”* co robić, płakać nie będę, „no ay kaso”. Pan Misiak napomknął w tym sensie, że on od początku wiedział, iż 3,50 było dla nich aż nadto, co na jego wyszło, zaś ojciec Lipiński, iż mogli oni przynajmniej wstąpić i Bóg zapłać powiedzieć dla starej, która pchała w nich naleśniki przez miesiąc z czubem. Na ogół odjazd przyjęto z milczącą pobłażliwością; co z oczu schodzi, nie trzyma się na językach w Punta Chata…

Część 2 ukaże się we wtorek, 6 marca 2018 r.

Fatima

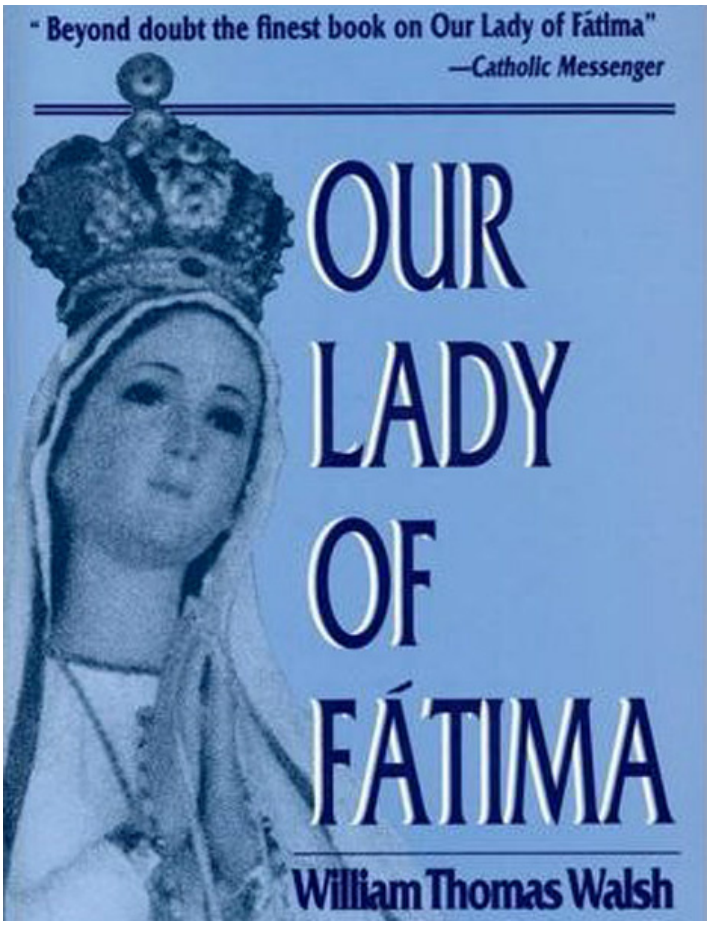


Fatima, Portugalia

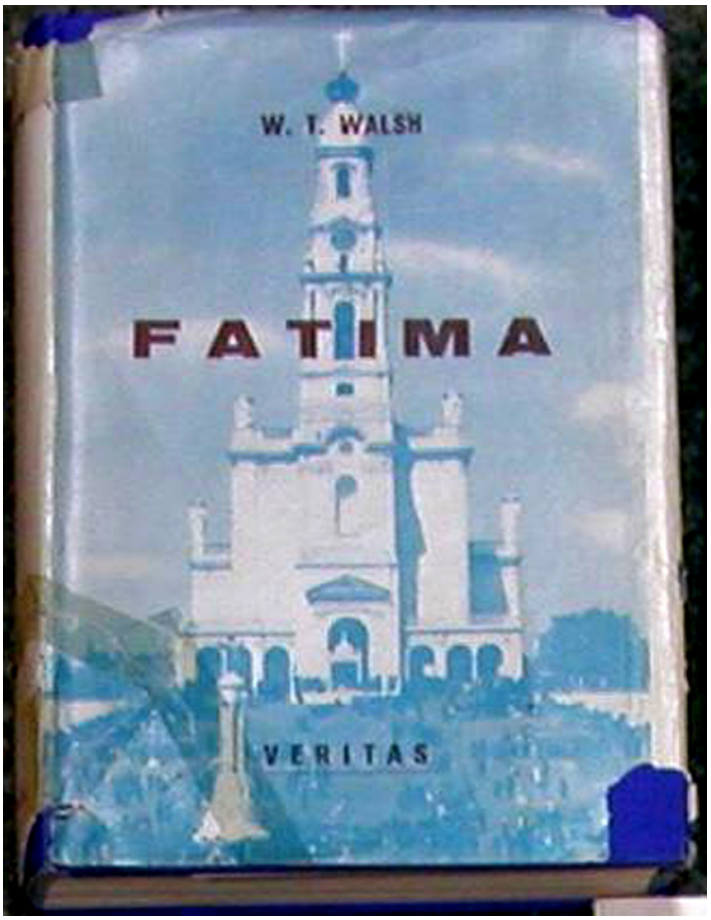
Florian Śmieja

Cały świat katolicki obchodzi stulecie objawień fatimskich. Wielu ludzi wspomina także swoje osobiste spotkania z cudownym zjawiskiem, liczni pielgrzymi i turyści odwiedzili niepozorną miejscowość w środkowej Portugalii, namnożyło się publikacji na sensacyjny temat, dynamicznie wzrósł kult trójki dzieci wyniesionych w tak cudowny sposób na scenę świata.

W Anglii jeden z redaktorów polskich, bodaj Jan Bielatowicz, zaproponował mi przełożenie amerykańskiej książki o objawieniu Matki Boskiej w Fatimie, niezwykle popularnej, napisanej przez Williama Thomasa Walsha (1891-1049), a ja, żółtodziub, podjąłem się zadania mimo małego doświadczenia i symbolicznej zapłaty. Tłumaczenie stało się moim sposobem ćwiczenia się w dwu językach, wzbogacania jednego i doskonalenia drugiego. Książka wyszła w 1956 roku w Londynie w serii niebieskiej Veritasu, a niedawno wydrukowano w Warszawie jej nowe wydanie.



Popularna książka o Fatimie autorstwa Williama Thomasa Walsha.



Książka o Fatimie Williama Thomasa Walsha w polskim tłumaczeniu Floriana Śmieji wydana w Londynie w 1956 r.

Mój tekst z pewnością pozostawiał dużo do życzenia. Zapamiętałem, że jedna ze starszych pisarek emigracyjnych zobaczywszy książkę, wzięła ją do ręki, a przeczytawszy kilka stron odezwała się do mnie, że zrobiłaby to inaczej, lepiej. Nie była odosobniona w krytyce i sposobie jej wyrażenia. Przyjmowałem uwagi cierpliwie, uznawałem je za cenę, którą płaci się za śmiałość zabierania głosu na publicznej arenie.

Ale potem się zbuntowałem. Za dużo było tych, co by lepiej zrobili. Teraz czekam na następnego krytyka i mądralę. Już

wiem, co bym takiemu/takiej odpowiedział. Że on/ona by zrobił/a, a ja zrobiłem. Różnicę stanowi małe słowo „by”.

Ponoć w PRL-u ten mój przekład był zakazany i poszukiwany, a nawet konfiskowany w prywatnych zbiorach przez UB.



Dzieci, którym ukazała się Matka Boska w Fatimie, w 1917 r.

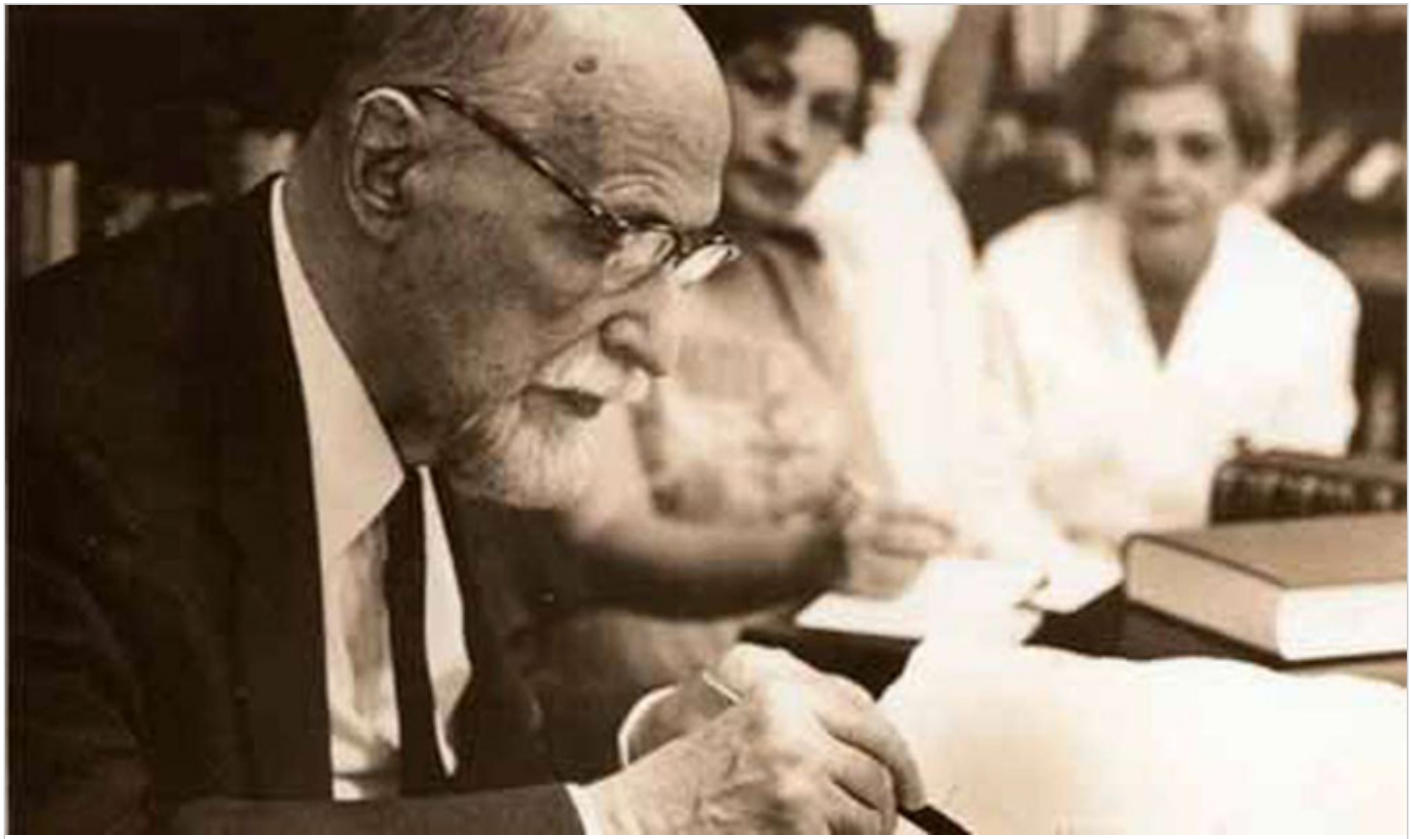


Pielgrzymki proszących o cud w Fatimie.

Już po ukazaniu się mojego przekładu, zawstydzony, że pisałem o Fatimie nie znając jej, wybrałem się do Portugalii. Była to obecnie mało już pamiętana, samotna wyprawa, uciążliwe noce spędzone na krzesłach w prymitywnych warunkach wczesnych pielgrzymek. Po raz drugi pojechałem do Fatimy z żoną, ale spartańskie warunki jeszcze trwały i wspominamy podobną noc spędzoną na krzesłach nim zmieszaliśmy się z tłumem przed bazyliką w dniu miesięcznej pielgrzymki diecezjalnej z udziałem tego samego biskupa, który przewodniczył pierwszym takim uroczystościom od 13 maja do 13 października 1917 roku. Niestety aparaty fotograficzne wówczas nie posiadały dzisiejszej sprawności i zdjęcia wtedy zrobione wypadły licho. Mamy

fotografie procesji z figurą Matki Boskiej Różańcowej przez zatłoczony plac do katedry. To wszystko, co nam zostało na pamiątkę.

Śladami Srebronia: Juan Ramón Jimenez (1881-1958).



Juan Ramón Jimenez (1881-1958)

Florian Śmieja

Nazwisko Juana Ramóna Jimeneza usłyszałem po raz pierwszy na lekcjach literatury hiszpańskiej w irlandzkim mieście Cork, gdzie rozpoczynałem studia humanistyczne po demoblilizacji najpierw z I Korpusu, a później z Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w 1947 roku. Uniwersytet oferował, egzotyczny wtedy dla mnie język hiszpański. Język piękny i łudząco prosty tak jak jego literatura, jak poetyckie opowiastki o srebrnej maści osiołku, towarzyszu chorowitego poety. A skoro był srebrzysty, to po hiszpańsku Platero. Srebroń, jak go po polsku przezwał

pamiętający Leśmiana Józef Łobodowski. Trudno było o bardziej stosowny polski odpowiednik. Srebroń.

Jego twórca urodził się w bielutkim, słonecznym andaluzyjskim miasteczku Moguer wśród pól, winnic i lasów. Opodal leży miejscowość Palos, gdzie na polecenie królowej Izabelli zbudowano karawele, które pod wodzą Kolumba wypłynęły w poszukiwanie drogi do Indii. Pochodzący z Moguer jego zastępca i odkrywca ujścia Amazonki, Vicente Pinzón, w lokalnym, stojącym do dziś klasztorze, dziękował potem za pomyślny wynik wyprawy.



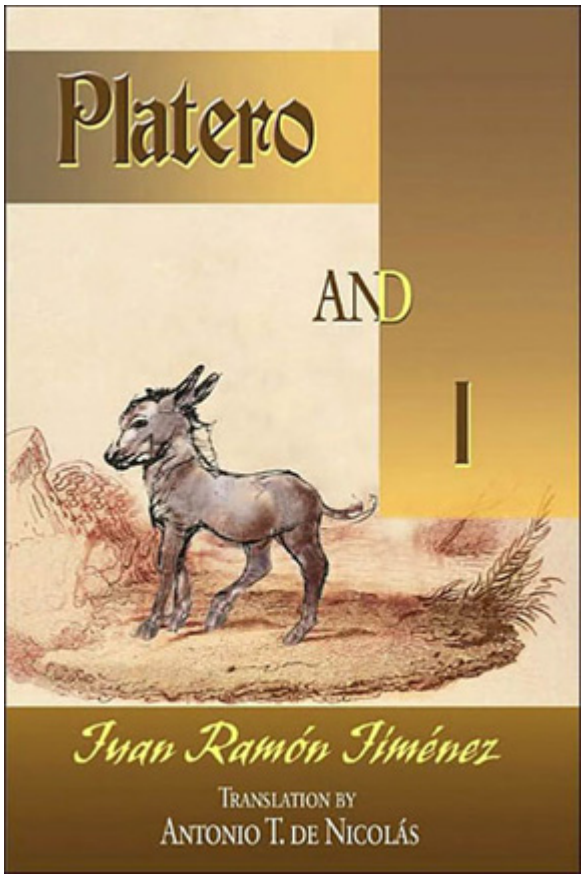
Srebrny osiołek na drodze w Andaluzji.

Do tej starożytnej miejscowości zwanej przez Arabów Almoguer pojechalem z Sewilli autobusem, wysiadłem w pobliskim San Juan, a na końcowy odcinek wprosiłem się na dwukołowy ciągniony przez muła wóz. Rytmiczne podskakiwanie pojazdu dawało dużo czasu, by dotrzeć do pojawiającego się na widnokręgu białego miasteczka godnie i w należnym skupieniu.

Były dom poety stał się jego muzeum. Wmurowana tablica głosi jego historię: „W tym domu – dziś muzeum – Juan Ramón Jiménez przemarzył wszystkie sny dzieciństwa i młodości. Tu jego pamięć znalazła przychylne schronienie”.

Ten dawny dom poety to nie tylko muzeum, ale również biblioteka publiczna. Kto będzie jednak czytał w skwarne lata, a w takich porach spędziłem w Moguer moje trzy wizyty. Byłem więc zazwyczaj jedynym gościem i zaprzyjaźniłem się z dyrektorem, kuzynem pisarza. To dzięki jego uprzejmości pojechałem do lasu, by zobaczyć jeszcze szczątki wielkiej sosny uwiecznionej w poetyckiej prozie „Srebroń i ja”. Słynna sosna, „el pino de la corona”, sosna olbrzym, jak ją po polsku nazwałem, była widoczna z daleka, rzucała się w oczy swoim ogromem, była dostrzegalna z morza, królowała nad innymi drzewami. Ten symbol trwania, niestety, trafiony przez piorun leżał zwalony na

ziemi, osmalony i połamany. Oglądałem jego mizerię jak drogą relikwię.



Pojechaliśmy również do letniej posiadłości Fuentepiñas jaśniejącej na horyzoncie. Obok bielonego budynku stała kopulasta sosna. To pod nią pogrzebano osiołka, którego poeta rozsławił w całym świecie. Nazwę słynnego miejsca nosił jeden z hoteli, w którym się zatrzymałem. Posiadam jeszcze rachunek, z którego wynika, że mój pokój kosztował mnie w połowie maja 1975 roku dwieście peset, a obiad 288.

Korzystając z okazji chciałem jak najwięcej trudności tekstu, który tłumaczyłem na język polski, rozwiązać na miejscu sądząc, że lokalni ludzie są najbardziej kompetentni, by je wyjaśnić. Nie zawsze odnosiłem sukces. Powiodło mi się z piekarzem. Jiménez napisał, że Moguer jest jak chleb. W piekarni trafiłem na osobę starszą, dumną ze swego rzemiosła i pochlebiało jej, że właśnie o zwyczaje wypieku i recepturę pytałem, a on wiedział i chętnie objaśniał. Bo współcześni już nie pamiętali tych wszystkich fachowych słów, które ja, cudzoziemiec, znałem. Kazał mi przyjść

następnego dnia i zadał sobie trud, by ze specjalnie dla mnie zrobionego ciasta ulepić bochenki, już nie w modzie.

Mniej szczęścia miałem z nazwami ptaszków, które tropiłem poprzez ornitologiczne łacińskie terminy. Kiedy nie robiłem żadnych postępów, uśmiechnęło się do mnie szczęście, a przynajmniej tak sobie to tłumaczyłem. Otóż pod drzewami przy cmentarzu znalazłem martwego ptaszka, o którego mi chodziło. Zawinąwszy go w chusteczkę chodziłem po okolicznych domach i pytałem o nazwę. Zapytani jednogłośnie odpowiadali, że to ptak. Ale jaki ptak, pytałem niespeszony. „Pájaro pequeño", mały ptaszek, odpowiadali niewinie. Musiałem zrezygnować i uznać, że nieznajomość przyrody stała się nagminna, że trzeba było poszukać miłośnika i specjalistę, a dać spokój ludziom lokalnym.

Raz znalazlem się w Moguer w wigilię wyjazdu przystrojonych wozów w pielgrzymkę do niedalekiej miejscowości El Rocío, tak pięknie przez Jiméneza opisanych. Nie zaprzęgano już wołów, ich rolę przejęły muły, a strojne amazonki paradowały ożywionymi uliczkami na ślicznych koniach wśród palby broni i wystrzałów rac.



Juan Ramón Jimenez (1881-1958)

Odwiedziłem również słynną pustelnię, a z całą rodziną udałem się na grób poety i jego żony. Najmłodszy syn, Julek, złożył na

płycie wspólnego grobu polne kwiaty. Zmarły w Puerto Rico najsłynniejszy syn Moguer wyróżniony w 1956 roku literacką nagrodą Nobla, spoczął w końcu w swojej ziemi.

Kiedy pojechalem do miasteczka po raz trzeci, zobaczyłem zmiany, które wprowadziła nowa administracja z własnym jej pojęciem troski o kulturalne dziedzictwo. Zmieniono nazwy ulic. Dawna ulica „Nueva" przy której stoi dom Jiméneza przemianowano na ulicę Juana Ramona Jiméneza. Na to zgoda. Lecz po co z nastaniem nowych urzędników pozmieniano nazwy ulic utrwalonych na kartach „Srebronia i ja"? Ta zmiana spowodowała potrzebę umieszczenia dawnych nazw na drugim miejscu. Akcja ta ilustruje nieznośną potrzebę powierzchownych zmian przez nowych ludzi, których nie stać na czyny zasadnicze i gruntowne. Tak więc barwne kafelki z cytatami ze „Srebronia" wmurowane w różnych miejscach miasteczka są jakby na przekór temu najdoskonalszemu ze światow, przypominając rojenia poety, który widział raj tam, gdzie inni widzą codzienność, i cichego osiołka w miejscu, gdzie dziś pędzą rozjuszone samochody. Dawną idyllę zastąpił harmider i obojętność. Zeszpecono placyk Rady Miejskiej, kóry zachował piękno XVIII wieku w postaci historycznego budynku magistratu z zegarem o pięciołukowych galeriach na piętrze i parterze osłoniętych kratami z kutego żelaza. Trzy palmy, tuje i róże nie bardzo pasują do nowego pomnika Jiméneza wbudowanego w to historyczne, sielskie tło. Laureat Nobla siedzi sztywno za

czterema anemicznymi fontannami na tle dwu paneli płaskorzeźby. Po jednej stronie trzy alegoryczne postacie kobiet z osiołkiem, harfą i wawrzynem równoważą alegorię miłości z drugiej. Nad tą pomieszaną scenerią uganiały się jak dawniej chmary hałaśliwych jaskółek, jaśniała biel ścian, wieże wynosiły się nad dachy. Na jednej z nich bocianie gniazdo.

Historyczne tabliczki, że ”tu mieszkała Aguedilla”, „tu był placyk” wyglądały jak nagrobki, poetyckie „mane, tekel, fares” wskazujące marność tego świata i nieuniknione przemijanie rzeczy. Biedny poeta znalazł się najwyraźniej w bardzo wątpliwej gestii administratorów, urzędników od kultury, został uspołeczniony, zinstytucjonalizowany

Wracałem z trzeciej wyprawy do Moguer zawiedziony i rad, że autobus bardzo szybko wywiózł mnie w pola i sady. Z głośnika autobusu zabrzmiały rzewne skargi pątnika wracającego z pobliskiego El Rocío i zagłuszyły tłoczące się w moich myślach pytania. Głos śpiewaka zawodził: „Ślub mój wypełniłem”… A potem ciągnął dalej współbrzmiąc mojej rozterce: *„Ay, que me importa la muerte*… Co mi tam śmierć, skoro już nie mam nadziei. Całą noc opowiadałem o twojej zdradzie…”.

Ja również wracałem z pielgrzymki gnany starą miłością i jak każdy kochający, jechałem przygnębiony, niespełniony, nieuciszony, pełem smutku, którego nawet najsprawniejsze pióro

nie jest w stanie wysłowić…

Tłumacz wytrawny – Karl Dedecius

Florian Śmieja



Karl Dedecius, fotografia z dedykacją dla Floriana Śmieji, arch. FŚ.

Nazwisko pochodzącego z Łodzi Karla Dedeciusa, wybitnego niemieckiego tłumacza literatury polskiej, wymienia się dziś w Polsce w gronie największych naszych przyjaciół i ambasadorów na Zachodzie. Nic więc dziwnego, że posypały się na niego

nagrody, wysokie odznaczenia i honory. W czerwcu 2002 roku odebrał kolejny doktorat honoris causa w Polsce, tym razem we Wrocławiu.

Ale początki jego chwalebnej drogi nie były ani proste, ani łatwe.

Było to w marcu 1958 roku, kiedy wśród listów do redagowanego wówczas przeze mnie *Mekuriusza Polskiego* znalazło się pismo z Niemieckiej Republiki Federalnej, w którym nie znany mi korespondent donosił o planowanej przez siebie antologii współczesnej poezji polskiej. Prosił o udostępnienie mu tekstów i danych biograficznych młodych polskich poetów mieszkających na Zachodzie. Pukał do różnych drzwi, ale trudno mu było zdobyć potrzebne materiały. Informował równocześnie o pośpiechu, gdyż miał napięty harmonogram wydania.

Postanowiłem na apel odpowiedzieć i bezzwłocznie wziąć się do rzeczy.

Nie zdołałem nakłonić do współpracy z niemieckim entuzjastą mieszkającego wówczas w Londynie miłośnika poezji, Józefa Jaksinskiego. Miał on pokaźną bibliotekę nowości poetyckich. Choć go nie przekonałem, postawił do mojej dyspozycji swoje zbiory, a ja skwapliwie z nich skorzystałem. Wybrałem stos tomów, bodaj 29 i wysłałem trzy paczki do Niemiec. Jaksiński miał zastrzeżenia m.in. do pośpiechu całego przedsięwzięcia

obawiając się, że owoc nie będzie najlepszy. Do wybranych tomów dodałem listę autorów z danymi bio-bibliograficznymi i wysłałem do Heilbronn Karlowi Dedeciusowi, bo tak się nazywał autor listu. Wymieniliśmy szereg listów i pocztówek dla uściślenia niektórych danych biograficznych. Nie upłynął rok, kiedy wyszła antologia *Lektion der Stille.* Była to pierwsza jaskółka, ale jak się miało wnet okazać, stanowiła ona nie tylko o wiośnie, ale o bogatym lecie nad spodziewanie urodzajnym w piękne przekłady i liczne edycje.

Te wiersze 36 poetów z Polski i z emigracji ukazały się w prestiżowym wydawnictwie Carl Hanser Verlag w Monachium przy hucznym aplauzie krytyków niemieckich. Tłumacz przysłał mi plik kilkudziesięciu (z czasem było ich dwieście) recenzji pisanych przez wybitnych pisarzy i krytyków wśród których znaleźli się Heinz Piontek, Marcel Reich-Ranicki i Karl Krolow. Podkreślali oni niezwykłość publikacji, talent tłumacza, biegłą orientację w przedmiocie, różnorodność i dobrą klasę polskich autorów. Tak zaczęła się niezwykła kariera człowieka, tytana pracy i miłośnika poezji, prelegenta i twórcy, a potem wieloletniego dyrektora Deutsches Polen Institut w Darmstadt, laureata wielu nagród, doktora honoris causa szeregu uniwersytetów, wielkiego ambasadora polskiej literatury w Niemczech.

Od samego początku kariery tłumacza, toczącej się przez wiele

lat na marginesie pracy zarobkowej, Dedecius wierzył w szanse poezji polskiej na rynku niemieckim.

> Pisemne krytyki pokazują – pisał – że na ogół technika i jakość poezji polskiej zaskoczyły wszystkich. Podkreśla się niezłomną wolę twórczą, nowoczesność sformułowań, głębię wstrząsających przeżyć. Nie brakuje głosów, które tę nową lirykę polską przyrównują do najlepszej młodej liryki niemieckiej, a niektórzy twierdzą, że jest od niej lepsza…

Niemniej urodziny tej antologii były zgoła dramatyczne. Kompilowanie tekstów wierszy i zdobywanie wiadomości biograficznych w latach pięćdziesiątych nastręczało wiele trudności, dziś zupełnie niezrozumiałych i absurdalnych. Adresaci próśb często nie odpowiadali na nie, źródła były mało dostępne, więc w efekcie przypadkowe. I tak w pewnym momencie, kiedy Dedecius chciał drukować w jakimś niemieckim czasopiśmie wybór młodych polskich poetów emigracyjnych, miał do dyspozycji jedynie kilka numerów krakowskiego czasopisma *Zebra* i teksty wierszy w tych numerach pomieszczone (m.in. Zygmunta Ławrynowicza). Posiadając tylko bardzo skromną biblioteczkę polskich poetów, musiał prosić o przepisywanie mu na maszynie dostępnych innym tekstów (były to czasy przed kserograficzne).

Otrzymawszy moje trzy paczki z Londynu, Dedecius pokwitował ich odbiór z entuzjazmem mówiąc m.in.

> …Gdyby Pan nie był mi przysłał książek tak szybko, wówczas nie dotrzymałbym terminu majowego a wtedy antologia nie ukazała by się na jesieni, ale dopiero na wiosnę.

Zawiadamiał przy tym, że mimo tak krótkiego terminu, pracował nad przekładami starannie i dokładnie zapewniając, że żadnego autora nie skrzywdził.

Potem jednak, nie mogąc doczekać się z Polski obiecywanych danych biograficznych, chciał sam pojechać do Warszawy, miał nawet jakieś zaproszenie, więc zaczął ubiegać się o wizę. Nawiązał kontakt z attaché kulturalnym Raczkowskim, ale mimo nieustanych zapewnień, wizy nie otrzymał, zwodzony do końca.

W liście z 2.7.1958 roku skarżył się zdegustowany:

> Na księżyc łatwiej pojechać, niż do tej smutnej Warszawy. Ponieważ troszkę honoru też posiadam, powiedziałem… dość tego, rezygnuję… Czasem aż mi przykro i żal, że wziąłem na siebie tę syzyfową pracę, która mi cały swobodny czas zabiera, dużo zdrowia i pieniędzy kosztuje…

Parę miesięcy później donosił, że

> Antologia długo już gotowa. Pedantyczne wydawnictwo czeka tylko jeszcze na te brakujące noty biograficzne z kraju.



Karl Dedecius, fot. culture.pl

Pisząc na lewo i prawo Dedecius uparcie bojował o swoją antologię. W drukarni nikt nie znał języka polskiego, rękopis wędrował tuzin razy między Monachium a Heilbronn, gdzie

mieszkał, niemniej kilka błędów literowych zostało, ku zgryzocie dokładnego tłumacza. Prowadziłem z nim dialog w sprawie niektórych jego wersji niemieckich. Wyjaśniał mi swoją postawę, obiecał wyłuszczyć ją szczegółowiej w wywiadzie dla naszego pisma pod warunkiem, że przyślę serię pytań, na które obiecał odpowiedzieć. Tymczasem dzielił się swoimi obserwacjami:

> Kiedy ukazała się moja „Lektion der Stille", pierwsza niemiecka antologia najmłodszej polskiej liryki (także pierwsza w obcym języku w ogóle), która kosztowała mnie wiele czasu i trudu i troski, gdyż trzeba było karczować puszczę, a niełatwo było dostać, przeglądać i rozszyfrować ogromu polskich wydawnictw, napisał pewien krytyk, że wybór jest „skromny w porównaniu z obfitością wydanych w Polsce nowości". Jaki mędrzec! Odkąd to mierzy się lirykę na metry, odkąd waży się wiersze jak kartofle na worki? Myślałem, że poezja to dalekoidące zagęszczenie, koncentracja, wybór…

A przecież jedną z oczywistych przeszkód w wydaniu książki były ograniczenia nakładane przez wydawcę mało pokupnych, ryzykownych tekstów. Tłumacz w liście skarżył się na stojącego do jego dyspozycji skąpość miejsca, że miał gotowe przekłady, które do antologii nie weszły. Pominięci poeci też się upominali. Ktoś napisał mu złośliwy list.

> Nie chce nigdy więcej „niczego” ode mnie słyszeć. Ponieważ nie wkluczyłem jego wierszy. Co za zarozumiałość! Takie są smutne radości sumiennego antologa,

komentował Dedecius.

Lecz docierały również pierwsze dobre echa z Polski. W liście z radością zacytował mi wypowiedź prof. Kazimierza Wyki:

> Muszę powiedzieć, bez próżnych komplementów, że trudności, jakie Pan odczuwa i o jakich rozwiązanie prosi, dowodzą znakomitego zrozumienia poezji i ponadto trudności i wieloznaczności języka polskiego, wieloznaczności zarówno semantycznych jak obrazowych… Przekłady, o ile mogę polegać na swojej znajomości języka niemieckiego, czysto biernej i czysto szkolnej, wydają mi się bardzo piękne, udane, a przede wszystkim wierne…

Chwalił go także profesor Konrad Górski. Ponieważ jego tekst jest w języku niemieckim, przytoczę własny przekład jego wypowiedzi:

> Czytając niemiecki tekst, słyszę dobrze melodię i rytm

> oryginałów. To wielkie osiągnięcie. Czy to nowy przekład, czy stary? Kto to jest Karl Dedecius? Jeżeli jest to nasz współczesny, to proszę wyrazić mu moje najwyższe uznanie.

W naszej korespondencji powtarzało się zaproszenie do Niemiec, ale moje drogi tamtędy nie wiodły. Zanim do osobistego spotkania doszło, Dedecius przeprowadził się służbowo do Frankfurtu. Tam go kilka lat później odwiedziłem z rodziną, kiedy wracaliśmy z Polski samochodem. Odszukaliśmy jego biuro towarzystwa ubezpieczeniowego, dla którego wówczas pracował, przekładając w wolnym czasie polską literaturę.

Pojechaliśmy razem do lokalnej restauracji na wolnym powietrzu na pieczone kurczaki i długo obiecywaną sobie rozmowę. Obiad się przeciągnął, tak że musiałem zrezygnować z odwiedzenia przejazdem Mariana Pankowskiego w Brukseli, bo do stolicy Belgii dotarliśmy dopiero późną nocą, i zdecydowali kontynuować jazdę do Ostendy na prom do Anglii.

W liście z 12.4.1960 Dedecius zawiadamiał:

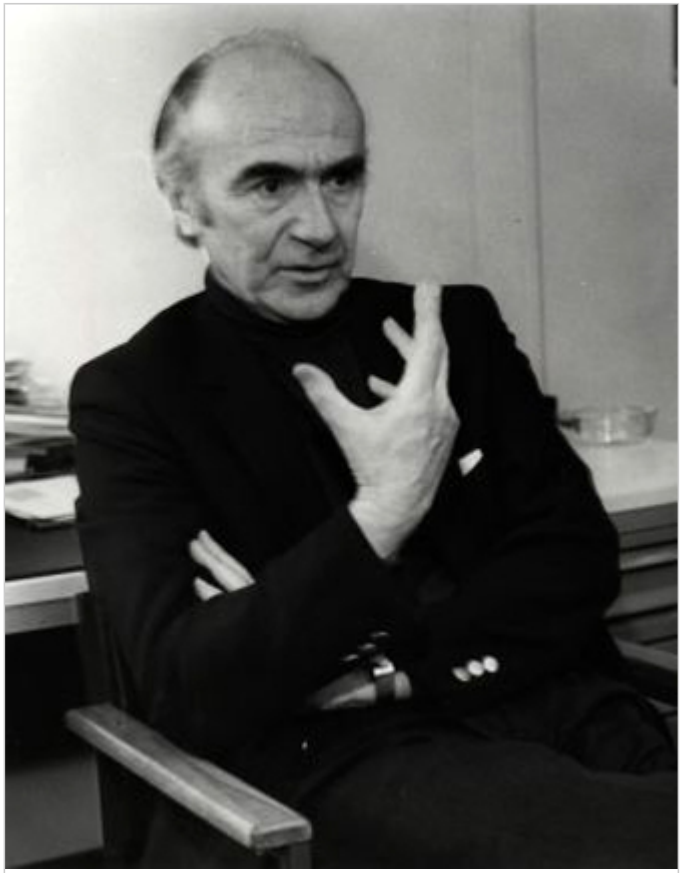
> …Zaraz po Wielkanocy ukaże się tutaj dość ładna książka, bardzo dowcipnie ilustrowana: „Myśli nieuczesane” Leca w moim przekładzie.

Był to jego największy sukces wydawniczy. Pod tytułem „Unfrisierte Gedanken” utrafiły one w smak niemieckiego czytelnika. Tłumacz zapytany potem w Polsce o wysokość nakładu, powiedział „pięćdziesiąt tysięcy”, co z niewiary czy złośliwości dziennikarza zapisano jako „piętnaście tysięcy”. Dziś nakład tych aforyzmów przekroczył pół miliona.

Kiedy sam nieco później robiłem własny wybór tych aforyzmów i przekładałem na język hiszpański, by je wydać w Meksyku, napisałem o tym Dedeciusowi. Ubawiło go to.

> Uśmiechnąłem się, mimo woli, czytając Pańskie uwagi o „Nieuczesanych” . Chyba pod sugestią Leca pisał Pan o tej maleńkiej książeczce, albowiem Lec wciąż się na mnie dąsa, że zrobiłem tak szczupły wybór, zamiast wydać grubą książkę z wszystkimi myślami. To już w charakterze każdego ojca życzenie zebrać wszystkie swoje dzieci pod jednym dachem. Ale to nie zawsze możliwe. Po pierwsze, nie każda gra słów wychodzi w obcym języku (a przecież wiele aforyzmów Leca na tej podstawie słownej zbudowane), a po drugie, nie każda myśl, nowa i celna nad Wisłą, jest także samo nowa i celna gdzie indziej. …Boję się, że Lec nie miałby połowy swojego dzisiejszego sukcesu u nas, gdybym bez selekcji wziął wszystko, co on napisał. Pomijając to, że niektóre myśli, przetłumaczone na niemiecki, powtarzają

> nieśmiertelne mądrości wypowiedziane przed laty przez Salomona, Heinego, Goethego, Lichtenberga, Ebner-Eschenbacha, Krausa i innych aforystów. Perły ceni się tylko dlatego, ponieważ sprzedaje się je pojedynczo. Gdyby targowali nimi na rynku całymi workami – nikt by na to nie zwracał uwagi.



Karl Dedecius

W drugim liście podał mi adresy rodziny Leca oraz bogatą bibliografię lektury pomocniczej.

Miałem go następnym razem zobaczyć dopiero po latach w Warszawie. Bo tymczasem urosła jego sława i rozeszła się szeroko, a kiedy został dyrektorem Deutsches Polen Institut w Darmstadt i zaczął zapraszać pisarzy i poetów z Polski, stał się persona bardzo grata.

Na Saskiej Kępie u ambasadora Niemiec wraz ze spotkaną po drodze Ewą Lipską zastałem doborową drużynę ludzi pióra i kultury (wydawcy, pedagodzy, aktorzy) już tworzący dwa obozy, powiedzmy lojalistów i kontestatorów, która się zjechała z całej Polski, by uczcić 70 lecie pracy translatorskiej Dedeciusa. On, wysłuchawszy laudacji i koncertu fortepianowego, z przysłowiową niemiecką przezornością wręczył każdemu z obecnych gotową na tę okazję księgę pamiątkową.

Jan Darowski pisząc o "Lektion der Stille" w "Kontynentach" w 1962 roku martwił się o przyszłość fenomenu, którego nazwisko brzmiało Dedecius. Głosił on jasno i wyraźnie:

> W Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya…Nie wiem, jak mu tam ojczyzna nasza pomaga, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób…

Dziś, po tylu latach, zbawieni obaw o losy Dedeciusa, możemy spokojnie pogratulować sobie, że postawiliśmy na sukces.

Na mój wielki dzień 5 maja 2015 roku napisał list: *(wręczenie doctoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego i przyjęcie orderu przyznanego przez króla Hiszpanii Filipa VI za działalność translatorską, przyp. red.).*

> Kochany Panie Florianie,
>
> nasza wspólna Alma Mater, Uniwersytet Wrocławski, postanowił Pana odznanczyć. Gratuluję Panu z całego serca tego wyróżnienia, które nas powtórnie do siebie zbliża, jak Pan widzi krąg naszych przyjaciół jest ciągle ten sam, miejsca do których podróżujemy te same. Cieszę się, że Uniwersytet Wrocławski postanowił Pana uhonorować w tak szczególny sposób. Przez moment miałem nadzieję, że uda nam się spotkać, ale jak sygnalizuje mi moja najbliższa współpracowniczka, pani Ilona, Pana podróż wiedzie przez Warszawę, a nie przez Frankfurt. Szkoda. Chętnie bym odświeżył naszą przyjaźń, zaprosił Pana (wraz z Córką) na odpowiednią kolację połączoną z „nocną rodaków rozmową”…

Karl Dedecius zmarł w 2016 roku.

Na jego koncie Niemcy zapisali odkrycie i przyjęcie polskiej literatury.

Tłumaczka z pasją. Nina Krygier-Michalak.



Nina Krygier-Michalak

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Powieść „Kto widział wiatr” będąca debiutem pisarskim kanadyjskiego powieściopisarza, dramaturga i satyryka Williama O. Mitchella wydana po raz pierwszy w 1947 roku od razu stała się bestsellerem. Znalazła się w lekturze szkolnej, na jej podstawie nakręcono film. Dopiero po 60 latach zainteresowało się wydaniem kanadyjskiej powieści w pani tłumaczeniu polskie wydawnictwo MUZA. Jak długo starała

się pani zainteresować wydawnictwa w Polsce tą książką?

Nina Krygier-Michalak: Około czterech lat. Jest to żmudny proces zwłaszcza kiedy nie jest się na miejscu, tzn. w Polsce i nie ma się na tamtym rynku ugruntowanej pozycji jako tłumacz. Bywało, oczywiście, że całymi miesiącami nic się nie działo, byłam zajęta inną pracą, sprawami rodzinnymi. Kiedy wybrałam się na Krajowe Targi Książki w Warszawie biorąc ze sobą piękne, albumowe wydanie, MUZA była jednym z wydawnictw, które obejrzały książkę i przywiezione przeze mnie dodatkowe materiały. No i widocznie coś musiało się im w tym wszystkim spodobać.

Jednym z powodów, dlaczego książka czekała na polskiego czytelnika od 60 lat jest zapewne fakt, że sam autor chyba nie za bardzo zabiegał o tłumaczenie jej na inne języki. Za jego życia ukazała się jedynie wersja francuska. Dopiero w ostatnich latach książka została przetłumaczona także na koreański i włoski. Z kolei jeśli nawet Polak będący tłumaczem przeczytał ją w oryginale, to zapewne rezygnował w przedbiegach, bojąc się piętrzących trudności związanych ze znalezieniem wydawcy i perspektywą pracy bardziej prestiżowej niż zarobkowej.

JSG: Jak podeszli do wydania powieści w Polsce spadkobiercy autora?

NKM: Spadkobierców spuścizny literackiej pisarza, którymi o ile mi wiadomo są jego dzieci: dwóch synów i córka, nie poznałam jeszcze osobiście, chociaż mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi, zwłaszcza po zapięciu na ostatni guzik wszystkich warunków umowy i podpisaniu ostatecznej wersji. Przez cztery lata byłam w kontakcie internetowym z jednym z synów. Orm Mitchell wykłada literaturę kanadyjską na uniwersytecie w Trenton w prowincji Ontario. Kontakty z nim były sporadyczne i raczej oficjalne, aczkolwiek ostatnio otrzymałam miłe i ciepłe słowa podzięki za upór w dążeniu do wydania polskiego tłumaczenia dzieła jego ojca.

JSG: Dlaczego pani zapragnęła przetłumaczyć tę właśnie powieść? Co według Pani stanowi o jej wartości?

NKM: Nie jestem krytykiem literackim, więc nie wiem według jakich kryteriów dana książka zasłużyła sobie na miano arcydzieła. „Kto widział wiatr" – nawet jeśli nie uzna się jej za arcydzieło – należy z pewnością do tzw. bardzo dobrej literatury. Osadzona w realiach kanadyjskiej prerii lat 30. XX w. opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska preria. Co ujmuje w niej najbardziej to prosty, a jednocześnie poetycki i pełen humoru język, którym autor posługuje się zarówno opisując sprawy przyziemne, zwykłe, jak i pokazując

sprawy wielkie, takie jak stosunek człowieka do przyrody, czy też problem wolności indywidualnej a odpowiedzialności przed społeczeństwem. To chyba pierwsza rzecz, która bardzo mi się w tej książce podoba – umiejętność połączenia kontrastujących ze sobą elementów: powagi z humorem, prozy z poezją, czyli jej uniwersalizm. Dzięki temu książka może podobać się zarówno osiemnastolatkowi, jak i osiemdziesięciolatkowi. Druga rzecz to od pierwszych kartek książki fascynujący proces całkowitego utożsamienia się z głównym bohaterem, który jest przecież dzieckiem i trzeba się czasem uszczypnąć, by zdać sobie sprawę z relacji bohater – czytelnik. Stanowi to, według mnie, o absolutnym autentyzmie powieści.

JSG: Czy trudno jest przenieść na język polski klimat międzywojennej kanadyjskiej prerii w prowincji Saskatchewan i losów poznającego życie młodego chłopca? Czy natrafiła pani na jakieś szczególne trudności podczas tłumaczenia?

NKM: Trudności tłumaczeniowe wynikają między innymi z uproszczonego, czy też lekko gwarowego języka, jakim posługują się niektórzy bohaterowie. Najczęściej jednak to po prostu jest to kwestia innej struktury zdania, czy też zbitek językowych, funkcjonujących w angielskim np. jako przymiotniki, nie mające bezpośrednich odpowiedników w języku polskim, które trzeba zgrabnie rozpisać. „Black-eyed Susan” to w polskim po prostu „czarnooka Zuzanna”, ale spróbujmy przetłumaczyć „three-

gaited horse", koń idący raz stępa, raz kłusem, raz galopem. Jak zrobić z tego przymiotnikowego „konia o trzech chodach"?

JSG: Jak to jest, gdy spędza się wiele czasu z jedną powieścią. Czy „zaprzyjaźniła się" pani z jej bohaterami? Czy oni stali się częścią pani świata?

NKM: Kilka lat po przeczytaniu książki pamięta się ciągle przezabawne scenki. Z bohaterem nie tyle się zaprzyjaźniłam, co po prostu, jak już wspomniałam wcześniej, stał się on częścią mnie. Zresztą każdy z nas, mimo upływu lat, z łatwością może przenieść się w świat dzieciństwa, świat pierwszych fascynacji zapachami, barwami, smakami, świat zadziwienia i zdumienia. I ta książka właśnie ten świat przybliża, czy też jak kto woli, na nowo odkrywa.

JSG: Skończyła pani Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalnością językoznawstwo stosowane. W Kanadzie pracuje Pani jako tłumacz od 1984 roku. Czy tłumaczenie literatury to pani hobby, pasja?

NKM: I jedno i drugie. Hobby, dlatego, że w kanadyjskich warunkach (choć może i w polskich również), nie ma możliwości poświęcenia się całkowicie tłumaczeniu literatury, zwłaszcza wartościowej. Jest to rzecz wielce nie intratna, a życie ma swoje prawa. Pasja, bo od zawsze fascynowało mnie słowo. Jeszcze

kiedy mając 12-13 lat nie znałam żadnego obcego języka i namiętnie rozwiązywałam krzyżówki i fascynowała mnie zabawa na zasadzie: jak to można inaczej nazwać, czy wyszukiwanie obcych słów – angielskie piwo „Ale", australijski misio „koala" itp.

JSG: Tłumaczy pani literaturę nie tylko z języka angielskiego na język polski, ale i odwrotnie, z języka polskiego na język angielski. Takim tłumaczeniem był np. zbiór wywiadów Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt. „Korzenie są polskie". Na jaki język woli pani tłumaczyć? Proszę opowiedzieć coś więcej o „Korzeniach…", czy np. trudno jest oddać różne polskie zawiłości historyczne w języku angielskim?

NKM: Ogólnie powiedziawszy, łatwiej tłumaczyć z obcego języka na język ojczysty, w którym się wyrosło, ukończyło szkołę. Tłumaczenie odwrotne, z języka ojczystego na obcy, wymaga jeszcze większego nakładu pracy, a ostateczna wersja musi być koniecznie sprawdzona przez tzw. native speaker. Najlepiej, tak jak ja to robię szczególnie przy tekstach literackich, przez osobę nie mającą żadnych naleciałości językowych, nie znającą obcych języków i poruszającą się tylko i wyłącznie w obrębie języka angielskiego. Poza tym proces jest podobny: pierwsza wersja, niezgrabna, siermiężna, dosłowna, by nie uronić żadnego niuansu. Drugi etap ja nazywam przy tłumaczeniach z angielskiego na polski „przekładaniem z polskiego na nasze",

czyli obróbka językowa, szlifowanie, polerowanie, wygładzanie zdań, prawie tak jak przy obróbce drogocennych kamieni. „Korzenie" to była dla mnie przede wszystkim wielka lekcja historii: ta galeria wybitnych postaci z kanadyjskiego i amerykańskiego podwórka, wielu z pokolenia „niezłomnych" z ogromnym bagażem doświadczeń przedwojennych, wojennych i powojennych. Oprócz bardziej znanych postaci jak Czesław Miłosz czy Zbigniew Brzeziński, na kartach książki znalazł się m.in. Janusz Żurakowski, wybitny pilot doświadczalny, którego nazwisko trafiło do Encyklopedii Kanadyjskiej. Trudności językowych nie brakowało. Przez długi czas głowiliśmy się z panem Koglerem – ówczesnym dyrektorem Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, który zlecił mi tłumaczenie – jak najlepiej przełożyć na angielski słowo: „niezłomni". Ja zaproponowałam „indomitable", on nie był do końca przekonany, ale ostatecznie ta wersja poszła do druku. „Indomitable" znaczy dosłownie „nieposkromiony, niezwyciężony, niepokonany", ale w angielskim często używa się go z rzeczownikiem „spirit", „indomitable spirit", i to właśnie jest to, człowiek niezłomnego ducha.

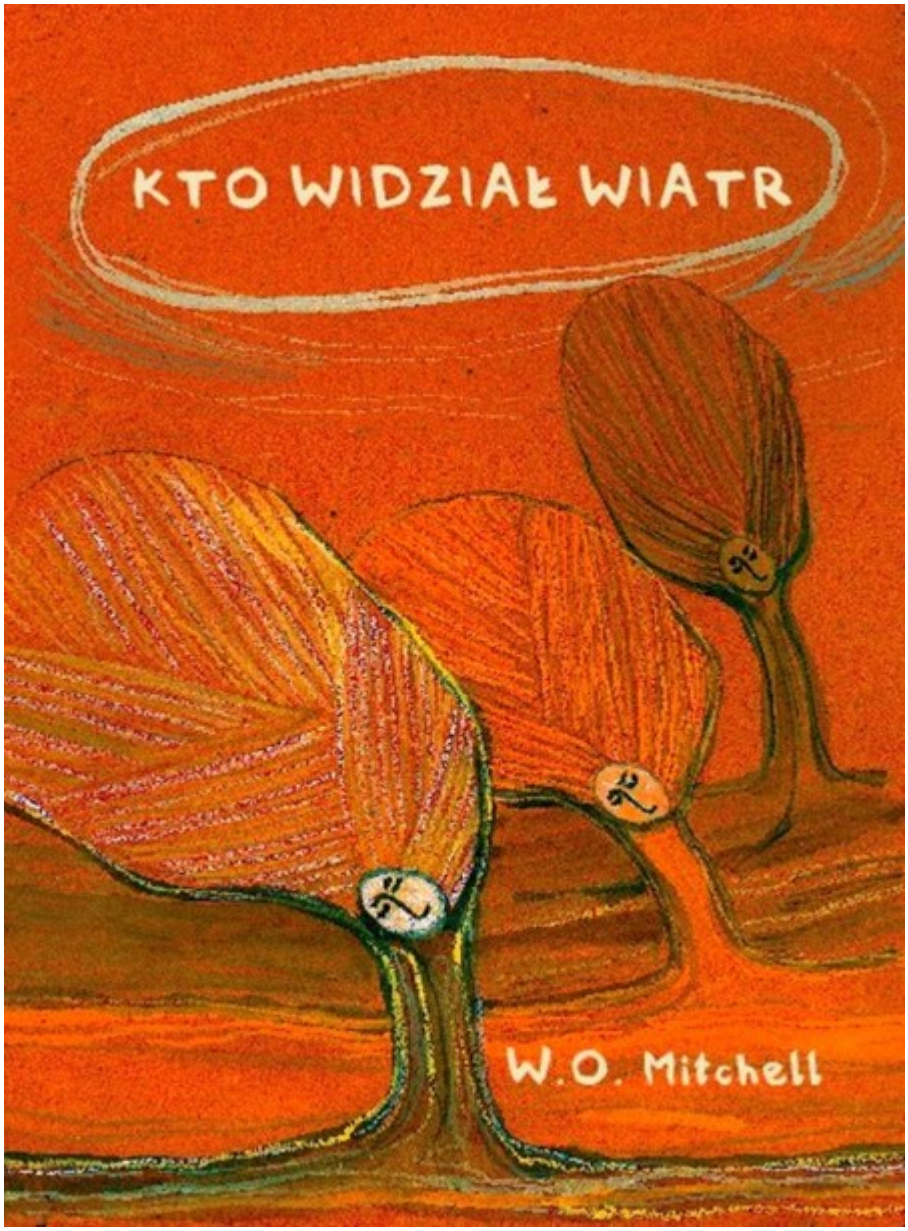
JSG: Kiedy i z jakiego powodu znalazła się pani w Kanadzie? Czy czuje się tu pani u siebie?

NKM: Z kraju nie wygnała mnie ani bieda, ani prześladowania polityczne. Z mężem, Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia,

poznaliśmy się we Francji mając po 21 lat. Jego polski był wtedy słaby, mój angielski – żaden. Kilka następnych lat to długie, cotygodniowe listy (obydwoje nieźle znaliśmy już wtedy francuski), rzadkie spotkania, tęsknota i…. paszportowa gehenna. Kiedy w wieku 25 lat postanowiliśmy się pobrać, było mi obojętne gdzie jadę: najważniejsze było być razem. Z perspektywy czasu widzę jakie miałam szczęście. Przyjechałam do kraju zamożnego, do rodziny męża, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami, znającej język polski i pielęgnującej polskie tradycje. Po prawie 30 latach trudno nie czuć się u siebie, w jakimkolwiek chyba kraju. Wszystko zaczyna nas wiązać: rodzina, dzieci, grono przyjaciół, praca, dom, sposób spędzania wolnego czasu, coraz więcej znajomych, wydeptanych ścieżek. Z Polską mam bardzo żywe kontakty, często odwiedzam tam przyjaciół i rodzinę, przez Internet ciągle słucham różnych polskich rozgłośni radiowych.

JSG: Czy jest jeszcze jakaś książka, która chciałaby pani przetłumaczyć?

NKM: Syn autora wspomniał, że jest dalszy ciąg dziejów bohatera, luźno połączony z pierwszym tomem (trochę na zasadzie „Ani z zielonego wzgórza”). Zobaczymy.



W.O. Mitchell, Kto widział wiatr, tłum. Nina Krygier-Michalak, wyd. Muza 2008 r.

Nina Krygier-Michalak jest tłumaczką z zawodu i z zamiłowania. W 1975 roku ukończyła Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalizacją – językoznawstwo stosowane. Posiada również tytuł tłumacza dyplomowanego (certified translator) przyznany przez

Kanadyjskie Stowarzyszenie Tłumaczy (Association of Translators and Interpreters of Ontario). Posługuje się językami obcymi: angielskim, francuskim, hiszpańskim. W Kanadzie pracuje jako tłumacz od 1984 roku. Jej pionierska praca przybliżająca różne sprawy z życia politycznego, społecznego, ekonomicznego i kulturalnego, pokazywała różnice między Polską i Kanadą. Aby przybliżyć Polakom Kanadę, Nina Michalak opracowała dla polskiej sekcji Radio Canada International, 30 krótkich historii, opartych na francuskich i angielskich materiałach źródłowych, dotyczących różnych aspektów życia w Kanadzie. Na początku lat 90. na zlecenie Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz Polsko-Kanadyjskiego Ośrodka Naukowo-Badawczego, pracowała nad serią esejów historycznych na temat wkładu Polaków w społeczeństwo kanadyjskie. Jednym z najważniejszych projektów było przetłumaczenie wybranych rozdziałów książki z okazji 50-lecia Kongresu Polonii Kanadyjskiej, wydanej w 1996 roku (Half a Century of Canadian Polish Congress). Ostatnią większą przetłumaczoną pozycją, jest zbiór wywiadów pióra Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem pod tytułem „Korzenie są polskie”. Przedstawieni w niej zostali wybitni Polacy, mieszkający w Kanadzie i Stanach, tacy jak np. pilot Janusz Żurakowski czy doradca do spraw zagranicznych prezydenta Jimmy’ego Cartera, Zbigniew Brzeziński. (Pierwsze wydanie w 1999 r., drugie w kwietniu 2004).

Kto widział wiatr



Kanadyjska preria w prowincji Saskatchewan.

William O. Mitchell

tłumaczenie Nina Krygier-Michalak

W zagródce pana Hoffmana były najpierw tylko dwa króliki. Teraz było ich dziesięć. Chłopców zachwyciło to coś za nic. I chociaż przyszła im do głowy myśl o możliwości jakiegoś rozrostu, to jednak nie spodziewali się, że nastąpi to tak szybko. Mamą została grubaśna królica rasy belgijskiej: Brian i Fat byli naocznymi świadkami przyjścia króliczków na świat.

– O rany, Fat – wykrzyknął Brian. – Jakie one śmieszne, w ogóle nie mają włosów.

– Urosną im – oświadczył Fat. – Jak będą duże, to im urosną.

– A potem one będą miały małe – prorokował Brian. – I te urosną.

– I urodzą małe – dodał Fat.

– I te urosną i będą miały małe.

– Będziemy mieć całą masę królików – orzekł Fat.

– I co z nimi zrobimy?

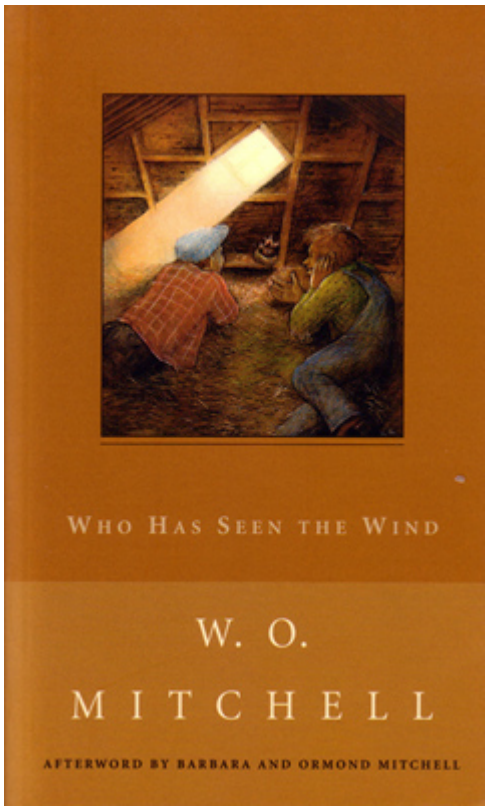
– Sprzedamy je – odpowiedział Fat. – Tato zapłacił za każdego 50 centów. Sprzedamy je.

Tak więc, przez dwa tygodnie chłopcy z niecierpliwością wyczekiwali pojawienia się nowych królików. Ike zwrócił ich uwagę na ciekawą zależność: grubaśny królik – małe króliczki. Zjawisko to nie kojarzyło im się wcześniej z przyjściem na świat młodych. Pod koniec miesiąca, kiedy nic się nie pojawiło, Brian postanowił pójść do ojca.

– Tato!

– Tak, urwisku.

– Skąd biorą się króliki?



Ojciec Briana zmierzył syna wzrokiem. Siedział w swoim gabinetowym fotelu. Światło lampy stojącej przy jego łokciu rzucało blask na jego ciemne, rude włosy. W pokoju panowała cisza zmącona jedynie powolnym, miarowym pykaniem jego fajki. Już od jakichś dwóch lat czekał na to pytanie. Musi z nim o tym otwarcie i uczciwie porozmawiać.

– Wiesz skąd biorą się roślinki?

– Skąd?

– Z ziarenek. Wsadza się je do ziemi i wyrastają z nich roślinki. – Spuścił rękę, by podrapać w ucho Jappy'go, leżącego przy fotelu.

– To, to wiem.

– Wiesz, co? – spytał Bobbie, który wszedł do pokoju.

– Coś, co tłumaczę Brianowi. Ze zwierzętami jest tak samo.

– Naprawdę?

– Co, jest? – spytał Bobbie.

– Małe – odparł Brian. – Mówi mi, skąd biorą się małe.

– Pamiętasz, jak pytałeś mnie o gołębie, kiedyś dawno, będzie z cztery lata temu.

– Nie – odparł Brian.

– Powiedziałem ci wtedy, że gołębie rosną w jajku – w środku jajka – a jajko jest w środku mamy gołębicy, aż się nie wykluje. Cały czas jak mama gołębica je wysiaduje, gołąbek rośnie w

środku. I wykluwa się, jak jest już dostatecznie duży.

– Ale króliki nie – powiedział Bobbie. – Brian widział jak wychodzą z mamy – powiedział, że widział jak wychodzą…

– Króliki, to co innego. Nie wykluwają się z jajka. Rosną po prostu w matce, a kiedy przychodzi czas, rodzą się.

– Rodzą się – powtórzył Bobbie.

Gerald O'Connal spojrzał w zadumaną twarzyczkę Briana. Jappy podniósł się i przeciągnął. Wyciągnął głowę i naprężył ukośnie tylnie nóżki, po czym drobnymi kroczkami wyszedł z pokoju. Wygląda na to, że wyjaśnienia były wystarczające, powiedział do siebie ojciec Briana. Podniósł znowu swój *Regina Leader*.

– A jak ziarenko dostaje się do środka? – spytał Brian.

– To – och – z tego rośnie króliczek u mamy w brzuchu, urwisku.

– I w niej jest pełno ziarenek?

– Tak – ona – coś takiego.

– A jak nie ma ziarenek, to nic nie urośnie?

Gerald O'Connal odłożył gazetę. Patrzył jak Bobbie podpiera sobie podbródek tłuściutkimi rączkami zgiętymi w przegubach, a podwinięte palce opierają się o pulchne policzki. Niebieskie oczy wpatrywały się w twarz ojca.

– Zgadza się. Tata królik musi posadzić te ziarenka.

– A skąd on je ma?

– Słucham? – One są w nim.

– To dlaczego nie rosną w nim i nie wyjdą z niego? – Brian nie dawał za wygraną.

– Bo nie. Bo muszą rosnąć w mamie królicy.

Brian zamilkł. Popatrzył na ojca z namysłem.

– To to jest tak jak mówi Ike – to on tak to robi jak …..

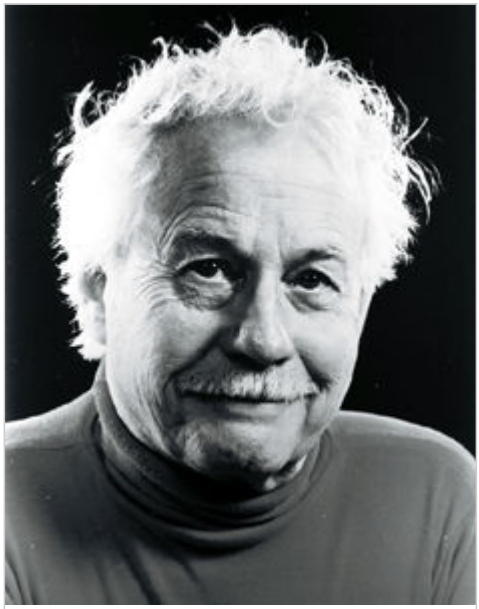
– Tak, właśnie to robi. Kiedy sadzi ziarenka…..

Natarczywe spojrzenie Briana wprawiało go w zakłopotanie.

– Można to tak nazwać. – zakończył pan O'Connal.

– Tato, tato? – Bobbie uwolnił z rąk swój podbródek. – A czy on może posadzić w niej rzepę?

Brian z niesmakiem popatrzył na swojego młodszego brata.



W.O. Mitchell, fot. Ed Ellis.

William O. Mitchell – kanadyjski powieściopisarz, dramaturg i satyryk urodził się w 1914 roku w Weyburn, Saskatchewan. Dorastał na Florydzie, ale w 1931 roku wrócił do Kanady i podjął studia na Uniwersytecie Mianitoba w Winnipegu. Po podróżach przez Amerykę Północną i Europę, zdobył tytuł Bachelor of Art. na Uniwersytecie w Albercie. Po studiach osiedlił się w małym miasteczku i pracował jako nauczyciel w szkole. Możliwe, że właśnie wtedy narodził się pomysł napisania książki, której bohaterem jest chłopiec, mieszkający w małym miasteczku na kanadyjskiej prerii. W 1944 roku William O. Mitchell zrezygnował z bycia nauczycielem i poświęcił się wyłącznie pisaniu. W 1947 roku opublikował powieść „Kto widział wiatr”,

która mimo tego, ze była jego debiutem pisarskim, szybko stała się bestsellerem.

Wydawnictwo Macmillian określiło go, jako „błyszczący nowy talent, który wchodzi do świata pisarskiego”. Podobnie wysoko walory pisarskie Michella ocenili krytycy i recenzenci. W latach 1948 – 1951 William O. Mitchell mieszkał w Toronto i pracował jako redaktor dla Magazynu McLeans.

Opublikował wówczas kolejne książki, przygotował kilka programów radiowych, pisał poezje. Po pobycie w Toronto, wraz z żoną zamieszkał na 20 lat w High River, a następnie państwo Mitchell przenieśli się do Calgary, gdzie do dziś mieszka ich syn. Pisarz przez szereg lat kierował pisaniem kreatywnym w Banff Centre, pełnił funkcję pisarza-rezydenta na wielu uniwersytetach, był jednym z najbardziej popularnych „speaker-performers”. Dwa razy zdobył nagrodę Stephena Leacock’a za poczucie humoru, które było stałym elementem jego wielu tekstów, przygotowywanych zarówno dla pism, jak i radia czy telewizji. Wielokrotnie go nagradzano. Otrzymał m.in. Order Kanady, a w 1991 roku został honorowym członkiem Privy Council. Powieść „Kto widział wiatr” wydawana wiele razy zarówno w Kanadzie, jak i w Stanach, weszła na stałe do lektur szkół średnich, mimo, że nie jest powieścią tylko dla młodzieży. Ale nie wszystkie wersje były takie same. Fakt ten odkryła synowa pisarza, Barbara Mitchell. Udowodniła, że oryginalne

wydanie książki zostało zapomniane, a wszystkie wydania do 1991 roku, były oparte na skróconej, amerykańskiej wersji powieści. Dopiero wydanie z roku 1997, z okazji 50-lecia pierwszej publikacji Mitchella, wydanej przez to samo wydawnictwo Macmillian, nie odbiegało od oryginału. Barbara Mitchell opatrzyła więc wydanie jubileuszowe dodatkowym esejem, będącym intrygującą historią na temat zmagań Mitchella z amerykańskimi wydawcami. W 1974 roku powieść przetłumaczono na język francuski. Obecnie tłumaczona jest również na język włoski i koreański. Wersja filmowa ukazała się w roku 1977.

Do 1980 sprzedano pół miliona egzemplarzy tej popularnej w anglo- i francuskojęzycznym świecie, książki.

Nowela W.O. Mitchella nosi znamiona charakterystyczne dla literatury kanadyjskiej. Jest nimi stosunek człowieka do przyrody, porównanie praw natury z prawami rządzącymi wspólnotami ludzkimi, problemy takie jak – wolność indywidualna, a odpowiedzialność przed społeczeństwem, świat dziecięcej niewinności, a doświadczenia życiowe człowieka dorosłego itd. Osadzona w realiach kanadyjskich prerii, pełna humoru, sugestywnych opisów przyrody i barwnych postaci przedstawia wartości ogólnoludzkie, przemawiające do każdego, bez względu na miejsce zamieszkania i wiek.

Przepojona prostotą i autentyzmem opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska preria.

Lektion der Stille



Jan Darowski

Do smutniejszych odkryć mojego żywota zaliczam odkrycie “Quo vadis?” w języku angielskim. Było to jeszcze w czasach sprzed książki z filmu, już nie pamiętam nazwiska tłumacza. Pamiętam natomiast, że w przekładzie tym pobite zostały aż dwa rekordy: rekord nieznajomości języka polskiego i rekord nieudolności w języku angielskim. Jeśli do tego dodamy kilka drobnych szczegółów, takich jak to, że tłumaczenie powyższe ukazało się nakładem jednej z najpoważniejszych firm wydawniczych w Anglii, specjalizującej się w klasykach wszystkich krajów i to, że na obwolucie książki jak byk wypisane było, iż mamy do czynienia z „ni mniej ni więcej”, tylko arcydziełem literatury polskiej, to już chyba mamy gotowy obraz literatury w umyśle angielskiego czytelnika. Od tego czasu ta przygoda powtórzyła mi się kilkakrotnie. Lecz jak mówią starożytni, ten kto dobrze leży, najlepszym będzie stoikiem.

Nie jest tajemnicą, że książki polskie tłumaczy się na język angielski nie z oryginału, a z jakiegoś innego tłumaczenia, zazwyczaj francuskiego. Nie było by w tym szczególnego powodu do zmartwienia, gdyby nie to, że na język francuski tłumaczą nas nie paryżanie, a Francuzi warszawscy. Trudno potem spodziewać się, że w języku angielskim wskrzeszony zostanie żywy głos autora polskiego, któremu poderżnięto gardło w języku francuskim.

Gdyby czytelnikowi angielskiemu zaofiarowano przekład na

wyżej wspomnianym poziomie, na przykład z Prousta czy Manna, tłumacza wykończyliby natychmiast recenzenci. Ilu zaś recenzentów angielskich podniesie, gdy jest w stanie podnieść, głos w obronie autora polskiego? Ani jeden, gdyż ani jeden nie może sprawdzić rzeczy w oryginale. Dobre wychowanie i wrodzona ostrożność każą im rzecz raczej przemilczeć, bo „a nuż widelec". Tak książka wychodzi na rynek, lecz nie dociera do czytelnika, który jak wiadomo rzadko ma swoje gusta i albo czyta na chybił trafił, albo na rekomendacje fachowców. A za nią książka następna i następna, aż gdzieś księgowi wykażą, że to wszystko ginie w próżni i naraża firmę na straty. Zimne poty wychodzą mi na czoło, gdy pomyślę w jakim stopniu książka polska w tym kraju zależna jest już nie tylko od talentu, ale wręcz ludzkiej uczciwości tłumacza. To też, gdy ci zatrąbią, Drogi Czytelniku, że taka a taka powieść polska, ukazała się w przekładach, na tyle a tyle języków, nie żenuj się a zapytaj, w przekładach czyich i z jakiego języka? A gdy dowiesz się, że w odległej Japonii książka polska jest bestsellerem, pomyśl tylko, czy nie dlatego, że zrobiono tam z niej szmirę.

Literaturze polskiej za granicą przeszkadza nie tylko jej spóźnienie dziejowe i jej prowincjonalizm (dobry prowincjonalizm też może mieć swój urok dla kosmopolity – vide, wyłączając Ibsena, literatura skandynawska pięćdziesiąt lat temu) lecz też, i to głównie nasz kompleks niższości, który każe nam stać w kącie z urażoną dumą i czekać, aby obcy do nas

pierwsi podeszli. A obcy nie podejdą, bo oni też mają swoje kompleksy. I tak skazani jesteśmy na tłumaczenie siebie samych, co zazwyczaj zaczyna się i kończy upartym twierdzeniem, że literatura polska nie ustępuje żadnej.

Lecz dobra kulturalne, jak każde inne dobra tego świata trzeba sprzedawać umiejętnie bez fałszywego wstydu i z iście kupiecką dalekowzrocznością. To jest eksport. Panowie, to jak jajka, bekon, konfitury, i na to nie ma rady. Ale szlachetce, który mieszka w duszy polskiego inteligenta, wstydno parać się handlem. On w wiechciach stoi równy królom.

Mówi się zwykle, że nie mamy szczęścia w ogóle, a szczęścia do tłumaczy w szczególności. Powiedzmy sobie od razu: my po prostu nie mamy tłumaczy. Niech mi ktoś wymieni Francuza, albo Anglika, który jest czymś więcej jak szprotką we własnych wodach, a może tłumaczyć z języka polskiego. Tymczasem St. Perse'a wprowadził do języka angielskiego nikt inny jak Eliot. Zgodzimy się chyba, że ułatwiłoby to sprawę nowoczesnej poezji polskiej, gdyby tłumaczyć ją mogli Ted Hughes albo Philip Larkin.

W obecnej sytuacji literatura polska nie może liczyć na takie ułatwienia. Nam trzeba najpierw tłumacza sobie stworzyć, hodować pieczołowicie, a potem ozłacać. Jak się to robi? Parę lat temu przedstawiono mnie pewnemu Anglikowi, „scoutowi"

jednej z firm wydawniczych, który, widocznie zmylony moim entuzjazmem do Gogola, wziął mnie za Rosjanina i zaproponował mi, abym tłumaczył coś z literatury rosyjskiej, „preferably post-Gorki". „W tym są niezłe grosze", zapewniał mnie gorąco. A na moje pytanie, czy z prawej kieszeni czy z lewej, powiedział krótko: "Może być z obu". Czegóż prócz z wysoce hipotetycznej wdzięczności narodu polskiego może spodziewać się tłumacz autorów polskich. A tu trzeba żyć, ślęczeć, dziatki żywić i wedle wzoru: Wer den Dichter will verstehen muss nach Dichter's Lande gehen, podróżować nieco. Przedtem jeszcze trzeba nauczyć się polskiego języka. Lecz gdzie? School of Slavonic Studies? Wolne żarty. Język polski jest tak trudny, nawet dla nieprzeciętnego Anglika, że żadne ambicje akademickie nie wystarczą mu, jako zachęta do głębszego niż po łebkach poznania tej dziwnej plątaniny spółgłosek. Na to potrzebne są bodźce żywe w rodzaju cyganerii studenckiej, dziewczyny, perspektywy kariery. Niechaj tylko uczelnie polskie ufundują stypendia dla Anglosasów, stypendia nie z literatury polskiej albo historii sztuki, a z medycyny, inżynierii itd., a w przeciągu następnego ćwierćwiecza przestaniemy być białą plamą na mapie kulturalnej świata. Zaś przekłady z języka polskiego posypią się jak z rękawa. I to przekłady niewymuszone, nie kupione gdzieś w ciemnej bramie, a wynikające z wewnętrznego zapotrzebowania tłumaczy i być może, jako podświadoma spłata długów wdzięczności. W następnych dwu dekadach ilość kandydatów na miejsca uniwersyteckie w Anglii więcej niż

dwukrotnie będzie przewyższała ilość miejsc. Czy ktoś w kraju pomyślał już o wykorzystaniu tej sytuacji? Wątpię. Prawdopodobnie patrzy się na to pod kątem bardziej doraźnie zrozumiałych interesów narodowych. Boć Antka trzeba też gdzieś podszkolić, aby zasilał szeregi Wielkich Niezrozumianych. Tymczasem w tejże Anglii, gdzie tysiące młodzieży nie ma szans dostania się na wyższe uczelnie, uczelnie te same rezerwują tysiące wolnych miejsc dla studentów zagranicznych. Oni to będą tłumaczyli literaturę angielską na swoje języki i narzecza, otwierając przy tym rynki zbytu i sfery wpływów. Powie ktoś, że Polska jest zbyt biedna na to, aby szkolić obcokrajowców kosztem młodzieży polskiej. Polska jest zbyt biedna na to, aby ich nie szkolić.

Tymczasem my nadal wierzymy, że pomoże nam kategoryczny imperatyw ludzi, którzy nie wiedzą na pewno, jakiego kraju Polska jest stolicą i być może, że wiedzą iż wiele naszych wielkości nie wytrzyma zmierzenia się z obcymi, boimy się prawdziwego tłumacza. Jeśli tak jest, to szkoda, bo liryka polska ostatnich paru lat i sporo przedwojennej na prawdę jest na poziomie. Przewyższa to, co w tym czasie napisano w Anglii i wytrzymuje porównania z liryką amerykańską. Czytelnik i literat anglosaski, nic o tym nie wiedzą, a te fragmenty, które do nich dochodzą traktowane są prędzej jako curioza z uciemiężonego kraju, niż odsetki jakiegoś większego kapitału, a gdy dowiedzą się prawdy, to znowuż będzie za późno.

Wyjątek pod tym względem będą stanowiły Niemcy i dzięki Karlowi Dedeciusowi, którego „Lektion der Stille”, antologia nowoczesnej liryki polskiej, jest wydarzeniem pierwszej klasy w historii przekładów z języka polskiego. O Dedeciusu wiem tylko, że urodził się w Polsce i że pracował nad nową antologią liryki polskiej, zakrojoną na większą skalę. Jedno jest pewne, w Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya albo Moncrieffa w prozie francuskiej. Nie wiem, jak mu tam nasza ojczyzna pomagała, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie jego talentu lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób. Mówię to, bo my tu nad Tamizą też mamy swoją „Lekcję ciszy”, ale lekcja idzie osobno, cisza osobno.

Recenzja ukazała się w „Kontynentach” nr 43-44 pod redakcją Floriana Śmieji w Londynie w 1962 roku. Posłał ją Dedeciusowi. On w jednym z listów napisał:

> Panu Darowskiemu proszę przekazać specjalny ukłon ode mnie: artykuł jego o tłumaczeniach – nie tylko ze względu na naturalnie miłą dla mnie laudatio, ile ze względu na ogólną ilustrację problemu i związane z nim wnioski – uważam za bardzo dobrze napisany i, jeśli wolno mi się tak wyrazić, mądry.